6. NUMER. MARZEC 1910. ROK II.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Pieśń rozstania.

(L. BALESTRIERI: „Chopin“. — FR. CHOPIN: Preludjum E-moll).

Na ustach Twoich — cud skarga rzewna,
A w oczach Twoich — cud łzy,
Tyś jest jak anioł — cicha i śpiewna,
O! bóstwem jesteś mi — Ty! ..

Na strunach harfy niebiańskie płyną,
Twe dźwięki w jasną — gdzieś noc
I wszystko w Tobie duchów krainą,
I wszystko: — „królewska moc!“

Nad lasem blady miesiąc Cię woła
W poszumie tkliwym sió tr-brzóz,
A jakiś smutek idzie dokoła,
Gdyby umarłych — ktoś wiózł. .

A jakieś echa po rosie dźwięczą,
W pastuszej fletni gra ból,
Jesienne wichry płaczą i jęczą,
Że pieśni — umilka król ..

. . . .

Tam w dalach słychać — biją tak dzwony,
Żałobą dzwoni — cień — tum
I śpiew Twój straszny; śpiew zrozpaczony,
Z boleścią rzucasz im w tłum
Słuchają Ciebie — piersi ich dumne,
Wzruszą się — pali je ża ,
Lecz.. czyją widzą — tam w liljach trumnę?
Czy ducha znali tych mar?!
Ach! bliżej słychać — biją tak dzwony,
Żałobą dzwoni cień — tum,
I śpiew Twój straszny; śpiew zrozpaczony,
Z boleścią rzucasz im w tłum.

. . . .

. . . .

Nad grobem modły płyną gdzieś w góry,
Gdzie wiecznych spełnień jest próg,
A z śpiewem Twoim i ptasząt chóry,
Powita On jeden — Bóg.
A z śpiewem Twoim zagasną światy,
W błękitów głębiach — wśród zórz,
I rój Aniołów — w pieśń przebogaty —
Nie zmilknie; — nie zmilknie już.

MIECZYSŁAW MŁAWSKI (Warszawa).

Maksymiljan Gumplowicz

(w świetle korespondencji ojca swego, Ludwika Gumplowicza).

Po tragicznej śmierci młodego, a tak bystrego i tyle obiecującego historyka Maksymiljana Gumplowicza (1864—1897) zajął się ojciec jego, również niedawno tragiczną śmiercią zmarły profesor Ludwik Gumplowicz, wydawnictwem pozostałych w rękopisie dzieł synowskich. Wydawnictwo to spowodowało obfitą korespondencję z uczonymi, w których liczbie znalazł się także dr. Kazimierz Górzycki, tem bliższy sercu zbolałego ojca, że był kolegą Maksymiljana i uczestniczył z nim razem w słynnych seminarjach historycznych prof. Xawerego Liskiego.

Kilka listów, pisanych przez prof. Gumplowicza do dra Górzyckiego w r. 1899, znalazło się w naszych rękach. Zawierają one tyle charakterystycznych rzeczy o stosunku ojca do syna a równocześnie, piękną sylwetkę naukową Maksymiljana Gumplowicza, że kilka wyjątków przytoczyć z nich warto i to tak z pietyzmu dla talentu tego ostatniego, jak i dla wspomnienia Ludwika Gumplowicza, którego dopiero obcy ocenili, jako gorejącą pochodnię wiedzy ogólnoludzkiej.

„Niczem innem — pisze zrozpaczony ojciec — od chwili śmierci śp. Maksia się nie zajmuję, jak wydawnictwem prac jego, a mam jeszcze dużo do robienia w tej rzeczy. Wydanie niemieckie (pracy „Baldwin Gallus i jego kronika“, *Przyp. Red.*) nie jest kompletnem i ma dużo myłek. Pospieszyłem się z niem, bo nie myślałem przed rokiem, że zdrowie moje i ten cios długo przetrwa. Więc prawie bez przytomności, zaraz po śmierci jego, wziąłem się do przepisywania manuskryptu, nie chcąc oryginału narazić na zniszczenie w drukarni. Brakowało not — odszukałem w stenogramach niemieckich. Za pomocą stenografa — sam nie umiem czytać tego, choć teraz się uczę — odcyfrowałem najważniejsze, ale nie wszystkie! Ale obawiając się, żeby ze śmiercią moją cała rzecz nie zaginęła, spieszyłem się, aby tylko główną rzecz wydać, główną myśl jego uratować. Tak wyszło wydanie niemieckie. Teraz jeszcze muszę myśl nieboszczyka zrealizować i całość po polsku wydać. Myśl bowiem jego była pierwotnie taka, aby pod tytu-

łem „Baldwin Gallus i jego kronika“, wydać razem wszystko, co w tym przedmiocie napisał...

„Na zakończenie miała pójść rzecz o żywocie Baldwina i losach jego po opuszczeniu Polski. Tego zakończenia już nie napisał — tylko szkic i notatki do tego mam.

„On był okropnie nieśmiały co do wystąpienia z publikacją (śmiały w kombinacjach i koncepcjach) i tak sumienny, że nigdy dosyć mu nie było dowodów i argumentów, popierających jego pomysły. Więc nie mógł się zdecydować na wydanie pracy, bo wiecznie jeszcze miał do szukania jakieś dowody i ślady swoich tez. To też pierwszych sześć rozdziałów w r. 1894 prawie gwałtem mu wyrwałem i przymusiłem go prawie, żeby posłał do Akademji (wiedeńskiej, *przyp. Red.*) chcąc przez publikację i sukces, którego byłem prawie pewny, pokrzepić go i otuchy mu dodać. Bo on ciągle desperował, że jeszcze tego lub tamtego śladu dojść nie może, że jeszcze musi przestudjować te i tamte kroniki, dyplomaty, szukać tam i ówdzie — a przy tem ogrom materjału przygniatał go — myśl, że mu się udało odkryć rzeczy nowe irytowała go — spać niemógł całkiem nocami — śnił mu się ciągle ten Baldwin, którego żywot od kolebki do grobu chciał zrekonstruować z kronik belgijskich i włoskich.

„Ze zgrozą spostrzegłem już wtedy, że nadmiar pracy rozstraja go nerwowo i żądałem żeby zaprzestał na jakiś czas, żeby odpoczął..

„Mam zamiar dzieło jego, tak jak było pierwotnie pomyślane jako całość i tak jak on to sobie zawsze życzył po polsku wydać. Wydanie polskie będzie kompletniejsze, bo w niemieckiem z powodu pospiechu mnóstwo luk, które będę się starał uzupełnić. Od roku prawie wyłącznie zajęty jestem wydawnictwem tej spuścizny. Ale idzie sprawa niełatwo. Noty stenograficzne niemieckie. Uczę się stenografji, już trochę potrafię czytać — pomagam sobie stenografami tutejszymi.

„Na dalszy plan usuwam mniejsze prace, ze szkiców i notatek t. j. o Chazarach (miał myśl nieboszczyk, że Żydzi polscy od nich pochodzą) i o mnichu Diokleasie, bo i tem się zajmował, jak wogóle rozrywał się na wszystkie strony. Wszystkie ciemności go nęciły — chciał rozświetlić wieki i zdarzenia, o których prawie nic nie wiemy, o których nie zachowały się żadne świadectwa historyczne. Ta ciągła praca umysłowa, to ciągłe wiercenie w głuchej przeszłości, której ślady zatarte były jedną z przyczyn rozstroju nerwowego, który przyczynił się, obok innych fatalnych zajść, do tragicznej śmierci człowieka, którego dziwny dar dywinacyjny byłby nam dużo jeszcze rozjaśnił rzeczy, zaciemnionych z umysłu przez takich np. Kadłubków“.

Drugą pracą Maksymiljana Gumplowicza, której wydawnictwem zajmował się osierociały ojciec, to „Polacy na Węgrzech“ — sprawa dziś coraz bardziej aktualna. „Rozprawa ta — jak pisze w innym liście prof. Ludwik Gumplowicz — zajmuje się nie kwestją osadnictwa, tylko faktycznemi, historycznie wykazać się dającemi, osadami Polaków na Słowaczyźnie. Odróżnia on bowiem, w ślad za lingwistami czeskimi, Słowaków od Polaków i wykazuje, które osady są polskie, opowiada ich dzieje i robi ich inwentarz statystyczny dzisiejszy tj. r. 1893... Była to pierwsza praca jego z lat 1889 i 1890. Co jest bardzo dobre ale nie dokończone. Bo odłożył tę pracę, straciwszy przez śmierć prof. Bidermana, który mu dostarczał ważnych do tego źródeł, możność korzystania z tych. Został więc fragment, ale o tyle nie fragment, że praca ułożona według komitatów, a kilka komitatów (Trenczyn, Spiż, Orawa) ukończonych, a zatem zawsze ciekawe!“

I w tej ciężkiej, wytężającej pracy starca, nad wydawnictwem dzieł ukochanego syna, leży zaczątek tragedji samego prof. Gumplowicza. Osłabiony wzrok odmawiał coraz bardziej posłuszeństwa i coraz się mnożyła tęsknota. Aż wreszcie gdy mrok wiecznej ślepoty okrył oczy obojga rodziców nieszczęśliwego Maksymiljana, poszli ku niemu w zaświaty oboje, ojciec i matka — równocześnie i dobrowolnie. *J.*

Pierwszy zesłaniec.

Porywanie biskupów polskich przez Rosję posiada swoją tradycję. Gwałty na dostojnikach kościelnych powtarzają się do dni naszych, a ich początek sięga jeszcze czasów Polski niepodległej i to nietylko wieku Stanisława Augusta i znanego wywiezienia senatorów i biskupów do Kaługi, ale daleko wstecz, aż do samego początku ośmnastego stulecia. Pierwszym, który się takiej brutalnej przemocy dopuścił, był car Piotr Wielki, a pierwszą ofiarą arcybiskup lwowski Konstanty Zieliński, którego osobą zajmuje się niedawno wydana praca ks. dra Stefana Szydelskiego.*)

Zieliński, uczeń uniwersytetów w Krakowie, Ingolsztadzie, Paryżu i Rzymie, sekretarz króla Jana III., kanonik płocki, później biskup sufragan gnieźnieński, mianowany został arcybiskupem lwowskim w r. 1699 po śmierci Konstantyna Lipskiego. Zawołany gospodarz i posiadacz wielkich majątków na Kujawach, nie spieszył się z objęciem rządów nowej djecezji, a nawet uroczysty wjazd do niej odbył przez zastępcę, w osobie sufragana lwowskiego Jana Skarbka, który cały ten akt załatwił paradnie i ku zupełnemu zadowoleniu tak swego mocodawcy jak i owieczek, witających nieobecnego arcybiskupa biciem w dzwony,

*) Ks. dr. Stefan Szydelski: Konstanty Zieliński arcybiskup lwowski. Kraków 1910. Nakł. Akademii umiejętności.

dwoma panegirykami, a nawet przemówieniem w katedrze... Osobiście zjawił się Konstanty Zieliński dopiero z początkiem roku 1701 i przez półtrzecia roku rządził, jak to ks. Szydelski z aktami kapitulnemi w ręku udowadnia, dobrze, sprężyście i sprawiedliwie, starając się tak o podniesienie powagi kościoła, jak o pomnożenie kleru i kościołów, których liczba w tych stronach, skutkiem ustawicznych wojen bardzo zmalała.

Najlepsze jednak zamysły i chęci przerwała burza, która zawisła nad Lwowem, to jest wojna Augusta II. z królem szwedzkim Karolem XII. i najazd tego ostatniego na nasze miasto. Zieliński, nie mieszając się zanadto do polityki, na samą wiadomość o zbliżaniu się wojsk szwedzkich wyniósł się politycznie ze Lwowa razem z całą kapitułą, zostawiwszy rządy w rękach dwu kanoników Józefowicza i Kucińskiego.

Ucieczka ta stała się dla Zielińskiego początkiem tragedji. Nie wiedząc dobrze, za kim się właściwie w tych ciężkich czasach opowiedzieć, za Augustem II. czy za Stanisławem Leszczyńskim, zakopał się arcybiskup lwowski w swoich posiadłościach na Kujawach, gdzie wypalał potaż, meliorował grunta, wypasał bydło, a gdy już skutkiem wojennej interwencji Karola XII. przyszło do detronizacji Augusta II. i wyboru Stanisława Leszczyńskiego, postanowił ostatecznie przenieść się dla uniknięcia kłopotu i kolizji na terytorjum pruskie, tem bardziej, że chodziło o to, który z biskupów ma ukoronować Stanisława Leszczyńskiego.

Mimo to zamiast do Gdańska, pojechał do Warszawy i ukoronował Leszczyńskiego na króla Polski, odbierając odeń przysięgę na pacta conventa i dopełniając wszystkich ceremonji religijnych. Co się stać mogło i co wpłynąć u człowieka dalekiego od sporów politycznych na tak wybitnie polityczną i niebezpieczną przy tem decyzję — niewiadomo. Autor niniejszej pracy gubi się w domysłach i ostatecznie pozytywnego wyjaśnienia nie daje. Faktem jest tylko, że za to przychylne wobec Leszczyńskiego stanowisko spotkała Zielińskiego nagroda w formie niedościgłej nominacji na godność prymasa Polski i bezpośrednia zemsta cara Piotra Wielkiego, stronnika Augusta II.

Właśnie w tym czasie bawił car w Żółkwi pod Lwowem i tu powstał u niego zamiar uwięzienia arcybiskupa, który po dokonaniu koronacji cofnął się znowu w zacisze życia domowego i gospodarskiego. Na carski rozkaz przedsięwzięto rewizję w pałacu arcybiskupim we Lwowie, skąd zabrano jakąś skrzynkę z papierami, a równocześnie, z końcem lutego r. 1707 rosyjski generał Rönne porwał Zielińskiego z pośrodka jego majętności w Skąpem niedaleko Torunia i wywiózł w niewiadomym kierunku.

Gwałt ten dokonany na jednym z najwyższych dostojników kościelnych i to w państwie obcem i niepodległem, nie wywołał nawet u współczesnych tyle zgrozy i oburzenia, ile by się można spodziewać było, choćby od ujarzmionego społeczeństwa. Nieśmiałe prośby i żałoby zanoszone do Piotra świadczą chyba o największem poniżeniu i upadku państwa, stojącego złotą wolnością. Jedna tylko kapituła lwowska nie zasypiała sprawy i dokładała wszelkich starań, celem uwolnienia arcybiskupa. Ale Piotr na prośbę deputacji kanoników odpowiedział impertynencją, a w postępowaniu samej kapituły tyle było serwilizmu i płaszczenia się przed carskiem „Wieliczestwem“, że wstyd ogarnia i gryzący ból przy czytaniu odnośnych kart książki ks. Szydelskiego.

Na podstawie pracowicie zebranych dokumentów zdołał autor opisać drogę pierwszego zesłańca. Generał Rönne wiózł go przez całą Polskę aż do Żółkwi, gdzie Zieliński widział się prawdopodobnie z carem, poczem odwieziono go do Kijowa, stamtąd do Mińska, a wreszcie do Moskwy, gdzie mu pod silną strażą wyznaczono mieszkanie w domu tamtejszych Jezuitów, na Słobodzie niemieckiej.

Na tem to przedmieściu carskiej stolicy, w obcem otoczeniu, w towarzystwie kilku tylko wiernych sobie i oddanych sług, przeżył arcybiskup lwowski lat kilka w srogiej tęsknocie i utrapieniu i tutaj go też zaskoczyła śmierć w dniu 17. lutego 1709 r. Przed śmiercią sporządził bardzo dokładny i szczegółowy testament, w którym pamiętał o każdym, najdrobniejszym nawet, sprzęcie i wszystkiem rozporządził w sposób drobiazgowy.

Wśród gorszących sporów o pozostały majątek arcybiskupi usunęła się w cień i zapomnianą została i sama postać Zielińskiego. Za mało szczegółów doszło do potomności o człowieku, może niedorastającym do wielkiej roli dziejowej, któremu jednak pisane były losy tak niezwykłe i tak nieszczęsne. Praca ks. Szydelskiego, oparta na nieznanych dotąd aktach kapituły lwowskiej, jest też pierwszym wyczerpującym życiorysem nieszczęsnego arcybiskupa i odsłania równocześnie bardzo smutną i ponurą kartę dziejów polskich, z tak mało historycznie opracowanej, doby początków ośmnastego stulecia

Zieliński spoczął, jak sobie tego życzył, na cmentarzu kościoła jezuickiego w Moskwie. Na grobie jego miał być położony kamień z napisem: Tu leży Konstanty Zieliński, arcybiskup lwowski, grzesznik.

Zapytuje tedy ks. Szydelski wszystkich Polaków w Moskwie mieszkających, lub tam częściej bywających: czy znajduje się jeszcze kamień z tym napisem? Czy dawny kościół jezuicki istnieje jeszcze, czy też został obrócony na inne cele? Czy znalazł kto grób Zielińskiego w Moskwie, czy go tam kto szukał, czy kto o nim co wie? Czy jest w Moskwie jaka pamiątka po nim?

Kto wie, niechaj odpowie na te pytania, niech tam szuka śladów po arcybiskupie i niechaj przypomni tę szlachetną ofiarę polityki Piotra Wielkiego.

Posiew czarnej śmierci.

(Miasto Biecz po morowej zarazie roku 1721.)

Oto ja odejmę z miejsca tego przed oczyma waszemi i za dni waszych głos wesela i głos radości, głos oblubieńca i głos oblubienice...

I wlazła śmierć okny waszemi, weszła do domów waszych, aby wytraciła dzieci z ulice, a młodzieńce z rynków...

Była wiosna i był kwiecień roku 1721, a nad Bieczem, ponad murowanem i ongi bogatem miastem, skowyczała nędza. I tak coś boleśnie zawodziło w powietrzu wiosennem, że nieliczny przechodzień, jakoby słyszał stąpanie anioła śmierci i jęk kładzionych pomorem mężów, niewiast i dzieci. W szeroko strachem otwartych źrenicach ludzkich każda łza wyschła już dawno — nie było bolu w duszach, bo czarna je płachta okryła. Płakały tylko w powietrzu pomarłych duchy, bo nikogo nie stało, coby po nich płakał na ziemi i w tem nawiedzonem mieście.

Miasto Biecz, czasu morowej zarazy w r. 1720, wymarło do znaku. Pustką, ongi ludnych, ulic i pierzeji rynkowych, rozwaliną kamienic i szczelinami wyrwanych dachów szepty tylko chodziły, zamarłe, modlitewne, a takie bezsilne, jak sama rozpacz. Każde słowo w pustkowiu owem wyrzeczone stawało się zaraz nabrzmiałą skargą, każde wspomnienie obrazem śmierci, co okny weszła do tych domów, aby wytraciła dzieci i młodzieńce. I usta tych, co zostali i co wiosną roku 1721 przechodzili ulicami Biecza, modlitwą drżały smutną i rozpaczną, bo... radość odjętą została z miejsca tego i głos oblubieńca, a oblubienice.

Takiej to chwili, pogodnego, słonecznego ranka, 22. kwietnia 1721 r. wyszedł na rynek i ulice Biecza orszak mężów urzędowych. Na czele szedł pan Antoni Krodner, burmistrz miasta morem nawiedzonego, obok dwaj Imć Panowie Wacław z Błędowa Błędowski i Szymon Wybranowski, jako świadkowie szlachta, potrzebni do ważności każdego aktu, z tyłu zaś kilku skrybów grodu bieckiego pilnie notujących. Orszak postępował zwolna, przystawając co chwila i oglądając pustkę i zniszczenie. Były to naoczne oględziny skutków morowej zarazy, celem sporządzenia „rewizji domów i ludzi w temże mieście Bieczu, po klęsce zarazy za łaską Bożą ustałej“. Z rewizji tej sporządzony miał być akt urzędowy, dla wykazania ubóstwa miasta i jego niezdolności do płacenia podatków*).

W ślad mężów urzędu bieckiego szła ulicami puśtka i patrzyła na nich wybitemi dziurami drzwi i okien, rozdziawionymi szmatami odartych dachów, ruiną opadających murów. Patrzyła na poważnie kroczących wysłanników grodu blada, od strachu i bolu stępiona twarz niedobitków mieszczańskich, a im samym, burmistrzowi i dwojgu szlachcie i pisarzom grodowym, mrok czarny duszę co raz przysłaniał i w urzędowy styl spisywanego aktu pchał słowa gorzkiego lamentu, słowa cichej, rezygnacją stłumionej skargi.

A ta skarga dziś jeszcze z pożółkłych kart rękopisu wyziera i wstrząsa ponurym i suchym rachunkiem wymarłych rodzin i opustoszałych ognisk. Jak karbownik, po zżętem polu chodząc, pokładzione oblicza snopy, tak oni patrzyli na wielkie żniwo śmierci licząc tych, którym na wieki już, ziemskiej zabrakło światłości. I stało się, że pospolity akt, ręką grodowych palestrantów spisany, taka sobie zwykła oblata, pełna formułek i prawnych zawijasów, stanąć może, jak ponury poemat, manifest przed tron Boga zaniesiony, śmiertelna obdukcja całego miasta i całej jego wymarłej społeczności.

Komisja zaczęła swe oględziny od... cmentarza. Stała tam niedaleko kamienica Wielopolskich, podle kapelania — pusta, szpital i plac, na którym ongi było domów trzy, a teraz jedna budka. Obok cmentarza plac pusty, na którym dawniej domów cztery, teraz dwie budy i to... do znaku powietrzem ludzie w nich wymarli. Obok dom Cymermana „upadkowi podległy dla starości“.

Koło sąsiedniego domu, mieszczanina Kwalowskiego, dłużej komisja przystanęła i bardziej się wzrok zasępił burmistrza i dwojga szlachty. Bo „od niego się powietrze zaczęło, a on, jako był zrujnowany, tak jeszcze teraz bardziej, bo na nim spadł dach i mury się walą, gdzie i przystęp niebezpieczny“. Podle dom miecznika z gruntu pusty, rudera tylko i „w tym jednak szewc do znaku wymarł, tam mieszkający“. Pobok chałupka mała, w której mieszka rzeźnik z żoną, ale „tego boleśnice powietrza morowego, wiecznym kaleką uczyniły“.

Szli dalej: dom Arpieńskich — do znaku w nim ludzie wymarli, potem rudera kamienic dwu, podle dwa domy puste — „do znaku w nich ludzie wymarli“, a wreszcie dom Wojciecha Szostka — w którym „wszyscy ludzie wymarli, tylko samego Pan Bóg zostawił“.

„Ojciec zadżumionych“ ośmnastego stulecia — i to nie jedyny w samym Bieczu! Nikt jego bolu nie wyśpiewał, a jednak w krótkiej wzmiance podpiska grodzkiego, cała się mieści tragedja i rozpacz człowieka, którego chmurny los samego ostawił i kazał Boga chwalić... szumem pożarów, co miasta zapala... trzęsieniem ziemi, co grody przewraca — zarazą...

Aż oto na rynek przyszli miejski mężowie poważni — i oto stanęli pełni smutku i bezsiły. Trzy strony rynku bieckiego zaraza wymiotła i ludzi w nim żadnych nie było, „bo jedni przez powietrze wymarli, drudzy dla walących się murów jeszcze przed powietrzem poodchodzili“ — wszystkiego ich dwoje w tej stronie zostało, Jędrzej Czoharowicz i „wychorzała w powietrzu wdowa Trybalska“.

*) Rewizja domów miasta Biecza 1721, po zarazie morowej. Urzędowy wypis współczesny w Archiwum miejskiem (dar p. Tadeusza Rybkowskiego).

Czwarta strona rynku od południa jakoś szczęśliwszą była a szczęście to pisarz w takich zanotował słowach: Dom Drzymałowiczów — niegdyś wierny był i miastu pożyteczny, teraz rudera, dom Skrzykmańskiego spalony, dom Wojciecha Krodnera rajcy po ogniu jeszcze nie ze wszystkiem zrestaurowany, w kamienicy Sakowiczowskiej wymarł do znaku p. Wikleński, w kamienicy Urzędowskich wszyscy ludzie wymarli, z kamienicy Szczukielskich pozostała rudera. Potem trzy kamienice Kurdwanowskich, Kozdrajskiego, Antoniego Krodnera zamieszkałe, jakby jakaś oaza w tej pustce i zniszczeniu, ale zato już w sąsiedniej kamienicy Franciszka Szostka wszyscy ludzie wymarli, a toż samo w kamienicy Rogulskich.

Poszli dalej panowie w ulicę Piekarską i znowu rejestr suchy a taki przytem ponury i bezradną troską nabrzmiały: kamienica Kobierskich, kamienica rymarza rudery, dom Niklewiczów, wymarli wszyscy „bez gospodarza i pusty zostaje“, dom Chełpowiczów a podle niego Piotrowicki rudery, kamienica Plackowska „od lat sta najmniej bez powały i żadnego nakrycia zostaje“, kamienica Kalitkowską rudera, plac Majerskiego pusty i zawalony, „dom pusty bardzo, Boraszowski, w którym doszczętnie wymarł pan Szurowski kancellarysta, z żoną, dziećmi i czeladzią“, naprzeciw plac po czterech domach „teraz ledwo znak kędy stały“ i wreszcie dom Kicikowiczów, który „doszczętnie wymarł a teraz wprowadził się wędrowny syn i ożenił się“...

Jako na grobach kwiat i bujne ziele wyrasta, tak i ów Kicikowicz i dwu jeszcze innych, o których niżej, na bieckiem cmentarzysku byli pierwszymi nowego życia zwiastunami. I chociaż pisze o nich pisarz grodzki, że byli „miserabiles“, nędzarze, to jednak stanowią na tem czarnem polu jedyną jaśniejszą plamę, jedyny głos... oblubieńca i oblubienice...

Idąc z ulicy Piekarskiej, ku bramie od Reformatów, spotkała komisja taki sam obraz ruiny: plac, na którym było domów dwa murowanych, teraz tylko rudera, w trzecim gospodarz doszczętnie wymarł — naprzeciw domu Przybyłowiczowskiego tylko rudera, dom drugi Malinowskich „do upadku prędki i pusty z gruntu, bo się w nim mieszkać boją i jeszcze przed powietrzem ludzie z niego ustąpili“.

Od tej bramy idąc kamienica Łapczyńskiego i dom Skowrońskich stały pustkami, w domu Podolskiej, „pani Rybczewska wdowa ze wszystkiem wymarła, tylko jedna baba miserabilis została“, obok drugi ojciec zadżumionych, Bezakowicz, „który tylko z powietrza sam jeden został, a żona, dzieci, czeladź wymarli“. Dalej stały rudery czteru kamienic i dalszych siedm, ogniem spalonych, naprzeciw rudera i znaki kamienic sześciu, „na których miejscu stoi tylko jedna chałupka mała złotnika Wayszewicza, któremu żona i dzieci wymarły, tylko sam został“,

W ulicy św. Ducha, przy kościele szpitalnym, wymarli wszyscy w domu Orłowskiego i garncarki wdowy, natomiast syn tylko pozostał w domu Piotra garncarza, „który teraz się ożeniwszy tam mieszka“. W ulicy Węgierskiej, w kamienicy Matuszkowiczów została tylko sama wdowa, zresztą cała rodzina wymarła, w domu Skowrońskich ani świadek nie pozostał, w domu Szynglarewiczów wszyscy wymarli a teraz zostaje w nim Majerski „po powietrzu ożeniony“, w domu Gajowskiego sama tylko została gospodyni bez męża i dzieci...

Nakoniec przyszła komisja na miejsce gdzie była dawniej słodownia, z której miasto miało znaczną kwotę do podatkowania, teraz ani miejsca po niej nie pozostało „tylko słychać że ją Moskwa doszczętnie rozebrali i spalili“.

Akt został ukończony i zaniesiony do ksiąg grodu bieckiego, gdzie pozostał na świadectwo dni, w których umilkł w Bieczu głos wesela i głos radości. *Fr. Jaw.*

Medal Sperandia.

Dzieła sztuki z epoki „quattrocenta“ zajmują dziś tak żywo umysły zbieraczy i świat naukowy, że mając w ręku szczęśliwym zbiegiem okoliczności świeżo w kraju nabyty zabytek tego czasu, medal przedstawiający Zygmunta d'Este księcia di San Martino (1433—1507) syna Niccola III-go i Ricciardy Saluzzo rylca Sperandia, choć to dzieło sztuki włoskiej, a u nas „na ziemi naszej“ tylko przechowane i niestety „non bene educatum“, bo konserwa na odwrociu pozostawia do życzenia — przesyłam o nim notatkę. Rodzina Estów w złotym wieku naszych Zygmuntów miała wielekrotnie styczność z Polską, z jej życiem i jej sprawami, że wspomnę tylko Alfonsa, który po ucieczce Henryka Walezego dobijał się usilnie, co prawda bez skutku, o tron polski, lub kardynała Hipolita. Świetne dzieło Chłędowskiego [1]) przyniosło w szeregu barwnych opisów. także relację posła Alfonsa, który po swej niefortunnej misji ledwo żywy z powodu chorób, zarazy, niewygód, rozbójników i przeróżnych utrapień jakich doznał, zaraz po elekcji króla Stefana Batorego, ze swej: „relegazione di Polonia“ jak sam mówi, uciekł do ojczyzny. Kardynał Hipolit znał dobrze Polskę, przyjeżdżając ze swej stolicy biskupiej w niedalekiem Erlau na Węgrzech, był też w Krakowie na ślubie królowej Bony. Wtedy mówiono głośno jak bardzo bliskim był sercu jej matki Izabelli Aragońskiej,

[1]) Chłędowski K. Dwór w Ferrarze. Lwów 1907 str. 329.

i tymi zażyłymi stosunkami tłómaczy się znany medal Pastorina [2]) przedstawiający po jednej stronie królowę Bonę, a po stronie odwrotnej córkę kardynała, hrabinę Mirandoli. Do tej wybitnej rodziny, panującej w Ferrarze, a zajmującej dominujące stanowisko w całych Włoszech, należał i „Sigismundus Estensis“, Znamy go dobrze ze słynnych fresków Francesca Cossy, czy jak chce Muther [3]) „szkoły Piera della Francesca“, co prawie że na jedno wychodzi — przedstawiających epizody z życia księcia Borsa w letnim pałacu Estów „palazzo Schifanoja“, a będących według Woermanna, [4]) najwspanialszym pomnikiem starej szkoły ferraryjskiej. Postawa i wygląd jakie i Cossa i Sperandio przekazali, odpowiadają warunkom, które Górnicki [5]) chciał widzieć u doskonałego dworzanina, więc „twarz piękną i kształt w ciele któraby mu mi-



Medal Sperandia, z wyobrażeniem ks. Zygmunta d Este.

łość u wszech ludzi jednała“. Stąd — zapewne — ks. Zygmunta, który nie brał udziału w życiu politycznem, spotykamy tak często na ferraryjskim dworze jako towarzysza zabaw i wypraw brata, księcia Borsa, później ks. Eleonory. Zapiski biblioteczne dowodzą, że korzystał ciągle i obficie z zasobów bogatej książnicy zamkowej. Był to umysł wysoce kulturalny, szukał towarzystwa humanistów i artystów, którym książęce podwoje stały zawsze otworem. W ten sposób, poznał i równolatka Sperandia, pozował mu do medalu.

Sperandio Mantovano (1425—1495) należy już do epigonów szkoły Donatella. Nie miał swego Vasari'ego więc brak nam współczesnej mu historji życia i rozwoju artystycznego. Dopiero w ostatnich czasach zajęli się nim goręcej historycy sztuki jak Venturi, Bode, Mackowsky, odgrzebując w pyle zapomnienia dotyczące szczegóły i daty.

Najwięcej ich zawdzięczamy monografii dr. H. Mackowsky'ego [6]). Z niej wiemy, że Sperandio był synem złotnika Bartłomieja z Mantuy, podobnie jak jeden z koryfeuszów sztuki niemieckiej Dürer, synem złotnika z Norymbergii. Pierwsze nauki pobierał od ojca, choć jak sam się szczyci, potem w przeciwstawieństwie do niego, pracował „de brogio, de marmore, di terra, de pictura, de orfesaria, *di piombo*“, był to więc wszechstronny talent, pracował w rzeźbie i malarstwie, odlewał w bronzie i ołowiu. Następnie spotykamy go w Medjolanie, a to przed rokiem 1466, gdyż modelował z natury do medalu, d z i ś b a r d z o r z a d k i e g o, zmarłego w tym czasie, ks. Francesca Sforzy, potem w Ferrarze, Faenzy, Mantui i Bolonii, gdzie zmarł około roku 1495. Z dzieł dłuta Sperandia najcenniejszem może, to pomnik papieża Aleksandra V. w Bolonii, przypisywany do niedawna Niccolo'wi z Arezzo. Muzea w Louvrze, we Wiedniu, w Berlinie, zbiory ks. Orłoffa w Paryżu szczycą się jego pracami, a wprost niezrównanemi są popiersia terracotto-

[2]) M. Gumowski: Medale Jagiellonów. Kraków 1906 str. 83.

[3]) R. Muther: Geschichte der Malerei. 1909 I Tom str. 149

[4]) Woermann: Geschichte der Kunst. 1906. II Tom str. 626.

[5]) Ł. Górnicki: Dworzanin polski. Kraków 1639 str. 29.

[6]) Hans Mackowsky: Sperandio Montovano. Jahrbuch d. kön. preuss. Kunstsammlungen. Berlin 1898 str. 178.

we artysty, tam przechowane. W medalierstwie był Sperandio może najpłodniejszym mistrzem quattrocenta, a z czasów pobytu w Ferrarze pochodzi cała serja podobizn dostojników dworu, książąt kościoła, poetów, finansistów na książęcym, tak zwanym „studio di Ferrara“.

Do tej serji należy i medal brata panującego, ks. Zygmunta. Medal ten miękko modelowany i odlany w ołowiu o średnicy 85 m/m odznacza się w pierwszym rzędzie prostotą, a jest przytem dziełem sztuki pierwszorzędnej wartości artystycznej, pełnem charakterystyki i realizmu, w którym portret odbija szlachetnym stylem, niezrównaną prawdą. Strona główna przedstawia popiersie, zwrócone w lewo, głowę o długich, na kark spadających włosach, z napisem otokowym: *illustrissimus sigismundus esten is*

Na stronie odwrotnej widzimy skrzydlatego amorka w całej postaci, „en face“, trzymającego w prawej ręce gałąź oliwną, a w lewej opartej na mieczu, wagę. Napis otokowy brzmi: *opus sperandei.* To odwrocie medalu bardzo typowe, jak z resztą u wielu włoskich medalierów, w przeciwstawieniu do niemieckich jest wyraźną allegorją usposobienia, życia, cnót i zalet portretowanego.

W sztuce niemieckiej artysta ograniczał się do napisu lub ornamentu heraldycznego na stronie odwrotnej, nie dla tego, jak dowodnie wykazał dr. Kopera [7]) żeby nie umiał oddać w allegorji nagiego ciała, ale dla tego, że uważał ją za nie właściwą — włoski przeciwnie rzecz pojmował. Jeśli więc bez wahania uznajemy stronę odwrotną naszego medalu za allegorję życia — odwrocie to daje jasną, dobitną charakterystykę portretowanego, w symbolach. Możemy więc i dodać, że ks. Zygmunt czcił kult najwyższego piękna (amor), był łatwy i zgodny w pożyciu (gałąź oliwna) sprawiedliwy i pełen poczucia honoru (waga) a mężny (miecz) — łączył więc w sobie, wszystkie cnoty męskie. Medal tak pomyślany, mógł stworzyć tylko niepośledni artysta, i w medalierstwie quattrocenta mistrz tej miary co Sperandio — wyszkolony na pierwowzorach Donatella. Co się tyczy autentyczności przedmiotu, ta zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości. Wszystko przemawia za nią widzi się ją i wyczuwa z wyglądu, ze szlachetnej patyny. Rysunek a co najważniejsze, wymiary medalu odpowiadają dokładnie opisom Armanda i Mani'ego, o późniejszym więc odlewie, a tych samych wymiarach ośrodka mowy być nie może. Że autor sam wspomina o pracach swych w ołowiu, a nasz medal z tego materjału — niepomiernie przyczynia się do stwierdzenia autentyczności. Ołów spotykamy zresztą w niewątpliwych oryginałach i innych mistrzów odrodzenia, jak Pisanella, Christofora Foppo zw. Caradosso, Padovana, Stefana van Holland itp.

Przy każdym jednak medalu prócz oceny artystycznej opinia numizmatyka niepomiernie waży na szali. Nadmieniam więc, zawdzięczając uprzejmiej informacji dyrektora zbioru Museo de medagliere Estensew Modenie p. dr. J. Bariola i kustosza zbiorów cesarskich, radcy dr. K. Domaninga wiadomość, że medal ten jest znany w kilku egzemplarzach, przechowanych w pierwszorzędnych zbiorach. Należy on więc do rzadszych dzieł niepośleniego rylca, tak płodnego mistrza, jakim był Sperandio Mantovano. Nie posiada go nawet tak bardzo liczny i bogaty gabinet monet i medali przy „Kaiser Friedrich Muzeum“ w Berlinie.

Kazimierz Przybysławski (Uniz).

[7]) dr. F. Kopera: Dary z Polski dla Erazma z Rotterdamu. Sprawozdania komisji h. sztuki VI. stron. 124 9) Armand A. Les médailleurs italiens des XV et XVI siecles Paris 1883—87. Tom B E II. 19, i Ant. Nani Medaglioni Estensi Ferrara 1902.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Dr. J. Zoller: Una lettera di Salomone Aschanasi al Granduca di Toscana. (Firenze, 909). Autor podaje w tej rozprawie nowe wiadomości o lekarzu i dyplomacie żydowskim, Salomonie Askenazym, który, przybywszy z dworem królowej Bony do Polski, był przez szereg lat lekarzem przybocznym Zygmunta Augusta. Podczas bezkrólewia r. 1572., łącznie z posłem francuskim w Warszawie, biskupem Montrucem, agitował za elekcją Henryka Walezego, a następnie, po ucieczce Henryka, odgrywał wydatną rolę w rokowaniach dyplomatycznych z Turcją. Autor, ogłaszając w archiwum Strozzich we Florencji w swojej rozprawie ciekawą korespondencję Askenazego z wielkim księciem toskańskim z r. 1578., zapowiada zarazem obszerniejszą pracę o działalności Askenazego w Polsce podczas bezkrólewia 1572 r., na podstawie niewydanych pamiętników Askenazego, pisanych w języku włoskim. Dla Lwowa sprawa pozatem o tyle aktualniejsza, ponieważ wspomniany tu Salomon Askenazy jest w prostej linji przodkiem prof. uniw. lwowskiego, znanego historyka, Szymona Askenazego.

»*Z Krakowa rodem*« — przyczynek do dziejów sztuki XV wieku, praca p. Ludwika Stasiaka, zasługuje na kilka uwag. Wielką ma zasługę autor że tekst Neudörfera fałszywie podany przez dr. Lochnera, ustalił z odwołaniem się na klasyczne wydanie Campe'go. Pan Stasiak pracuje z zupełnem oddaniem się i ogromnem zamiłowaniem nad historją Wita Stwosza i ma ogromną zasługę w tem, że nieznane dotąd jego dzieła i w wątpliwość podane miejsce urodzenia chce dokładnie stwierdzić. Tem bardziej więc przychodzi z przykrością uwaga, że zakończenie w mowie będącej pracy, zawierające osobiste wycieczki — w pracy naukowej — winno było odpaść zupełnie. Autor poszedł bezwarunkowo za daleko, odsądzając znanego bardzo w historji sztuki, autora cennego artykułu o pacyfikale Sandomierskim i o złotnikach krakowskich od znawstwa, a akademicką komisję od niewątpliwie i bezsprzecznie ogromnych zasług jakie położyła około poznania i rozwoju historji sztuki w Polsce. Ponadto sam autor zacytował niedokładnie inkryminowany artykuł, mylnie zapodał źródłowy tekst, na podstawie którego, nie-

uzasadnione zresztą zarzuty formułował. Czytamy bowiem wyraźnie w sprawozdaniach komisji hist. szt. (Kraków 1896. V. str. 96): jest „r z e c z ą p r a w i e n i e w ą t p l i w ą że nasz złotnik przychodzi ze Szwabji jak i jego brat rzeźbiarz“. Szanowny autor z odwołaniem się na ten sam tekst podaje: „Maciej Stwosz równie jak i jego brat, rzeźbiarz, przychodzi ze Szwabji“, litera docet litera nocet, tu słów kilka opuszczonych znaczenie z gruntu zmieniło. Innych cudzosłowami oznaczonych cytat w powołanem źródle w ogóle nie znaleźliśmy.

Urodzenia Wita Stwosza w Krakowie, nie kwestjonuje więc, — jak widzimy — powołana w sprawozdaniach rozprawa, a nie można nie przyznać zupełnego prawdopodobieństwa, że rodzice Wita Stwosza i Macieja jego brata, pochodzili, więc przyszli, ze Szwabji, w obec testamentu Macieja, ogłoszonego w tej samej rozprawie, w którym wyraźnie znznacza: „ych Matis Stoss *ader Schwab* als man mych nennt hyr czw lant“.

Gdyby ze Szwabji nie pochodzili — dlaczegoż by więc współcześni nazywali go „Schwab“ jak sam podaje?

Zi—nu.

N O T A T K I.

Zjazd bibljotekarzy. Bibljotekarze Muzeum polskiego w Rapperswilu pp. Wacław Karczewski i Władysław Kłyszewski zapoczątkowali myśl urządzenia zjazdu bibljotekarzy i bibljofilów polskich.

Ruch bibljoteczny na Zachodzie jest już skoordynowany, ujęty w pewną metodę. Są tam doskonale opracowane katalogi książnic, bibljoteki przestały tworzyć składy zadrukowanej bibuły, niedostępnej dla ogółu; w Brukseli istnieje międzynarodowe biuro bibljograficzne. Stany Zjednoczone zaś tak wysoko postawiły u siebie książnictwo, że w rozprzestrzenianiu oświaty bodaj czy nie większy wpływ ono wywiera, niż nawet samo szkolnictwo; tam nawet uczeń szkół średnich, mając do opracowania zadanie, siedzi w bibljotece i pracuje źródłowo, samodzielnie, w ścisłem tego słowa znaczeniu.

Ruch w tym kierunku budzić się i u nas zaczyna; niestety, jest on rozstrzelony, nie związany myślą przewodnią i programem i nie prowadzi do jednolitości w organizowaniu bibljotek.

Zapobiedz temu może powołane do życia Tow. bibljotekarzy i bibljofilów polskich. W tym celu należy urządzić zjazd bibjotekarzy i bibljofilów naszych. Zadaniem tego zjazdu powinno być również poparcie organizacji biura bibljoficznego polskiego, które urzeczywistniać zaczęło Tow. bibljoteki publicznej w Warszawie.

Sprawy konserwatorskie. Na ostatniem posiedzeniu Grona konserwatorów Galicji wschodniej, p. Józef Peleński, słuchacz uniwersytetu Jagiellońskiego, przedłożył Gronu dokładne sprawozdanie z swych poszukiwań archeologicznych na terenie starego Halicza, o których donosiliśmy poprzednio. W dyskusji przyznano, że rzetelną korzyść przyniósł nauce p. Peleński przez odcyfrowanie napisów pokrywających wnętrze romańskiego kościoła św. S t a n i s ł a w a. Natomiast hipotezę referenta co do położenia starego Halicza i ogromnie rozległego obszaru, jaki niegdyś miał zajmować uznał kons. dr. Czołowski jako nieuzasadnioną i oświadczył, że zarówno na podstawie badań terenu, jakie przed kilkunastu laty w Haliczu przeprowadził, jak też na podstawie wskazówek zawartych u Długosza i w kronice wołyńskiej przyszedł do niewątpliwego przekonania, że dawny gród halicki wraz z podgrodziem mieścił się wyłącznie w tem miejscu, gdzie dziś znajduje się wieś K r y ł o s.

Kons. dr. Hadaczek zwrócił nadto uwagę, że w Haliczu i jego okolicy są ślady osady przedhistorycznej i że autor często bierze niewłaściwie za fragmenty budowli chrześcijańskich przedmioty, które pozostają niewątpliwie w związku z dawnemi chatami słowiańskiemi.

Postanowiono dalej wysłać arch. p. T. Mokłowskiego do Celejowa (pow Husiatyn) do Jarosławia przedmieście, „na Garbarach“) i do Koszniowa (pow. Dolina), celem zbadania tamtejszych drewnianych cerkwi, które mają być rozebrane, oraz do Niechowic (pow. Rudki), dla stwierdzenia, o ile dokonana przez miejscowego proboszcza restauracja drewnianej cerkwi odpowiada zasadom konserwacji zabytków.

Na wniosek kons. Talowskiego zatwierdzono przedłożony przez art. malarza p. Krupskiego projekt polichromicznej dekoracji ściennej kościoła OO. Kapucynów w Olesku.

Wskutek życzenia dra A. Raczyńskiego wydano opinję konserwatorską o zamierzonej restauracji jego zamku w Zawałowie, dawnej siedziby Makowieckich i hetmana Jabłonowskiego, kładąc główny nacisk na potrzebę zachowania dotychczasowej konstrukcji dachowej.

Grono powierzyło sekretarzowi swego biura drowi Władysławowi Kozickiemu wygotowanie projektu krajowej ustawy konserwatorskiej, który ma służyć Wydziałowi krajowemu jako materjał przygotowawczy do wykonania dotyczącej tej sprawy uchwały sejmu z jesieni ubiegłego roku.

Grono przyjęło wreszcie z ubolewaniem do wiadomości, że techniczni funkcjonarjusze krajowi, wbrew licznym rozporządzeniom Wydziału krajowego, przedmiotów znalezionych przy sposobności regulacji rzek lub budowy dróg nie przedkładają Gronu, lecz zatrzymują je u siebie. Wypadek taki zdarzył się świeżo przy regulacji Pełtwi w cz sie której znaleziono broń pochodzącą prawdopodobnie z bitwy z Tatarami, stoczonej w r. 1518.

Grono ofjarowało w darze Muzeum Narodowemu im. Jana III. we Lwowie komplet gipsowych odlewów z rzeźb, znajdujących się w kaplicy Kampianów w katedrze lwowskiej.

Muzeum zabytków żydowskich w Krakowie. W niedługim czasie otwarte zostanie w Krakowie muzeum przedmiotów sztuki i zabytków żydowskich. Przełożeństwo gminy żydowskiej przysłało na początek dla zbiorów tych wiele cennych dokumentów, które dotychczas znajdowały się w posiadaniu osób prywatnych lub instytucji publicznych. Między nimi znajdują się dotyczące Żydów rozporządzenia królewskie z autentycznymi podpisami rozmaitych królów polskich jak Zygmunta Augusta, Zygmunta III, Stanisława Augusta i w. in. Ciekawy jest zwłaszcza projekt osobnej ustawy dla Żydów, przygotowany dla Sejmu czteroletniego, na projekcie widoczne są poprawki robione ręką króla, który przekreślił wstęp i napisał nowy własnego pomysłu. Poprawki widoczne na kilku pierwszych kartkach urywają się w dalszym ciągu. Dokument jeden z 1791. r. reguluje sprawę pieniężną między krakowską gminą żydowską a przełożonym zakonu św. Augustyna. Inny akt zawiera kopię listu papieża Pawła z 1596. r., w którym tenże stanowczo występuje przeciw podejrzeniom o morderstwa rytualne. Do bardzo cennych należy rękopis hebrajski, żargonowy z roku 1560, pisany i podpisany przez szwagra rabina Isserlego, zawierający przepisy co do zachowania się Żydów przy zawieraniu interesów, dalej cztery stare księgi z XVI w. t. zw. *Pinakty*, pisane po hebrajsku, zawierające historję krakowskiej gminy żydowskiej; księgi te wydał już w części Weinstein w języku oryginału.

Zabytkiem, ktorym zajęła się krakowska Akademia umiej. jest Stary Testament na pergaminie, spisany przez Piotra z pokolenia Lewi około 1300 r. dla przełożonego gminy żydowskiej w Ratysbonie. Biblja zawiera cenne ilustracje kolorowane, których wydanie przez komisję historji sztuki Akad. umiej przygotował prof. M. Sokołowski. Egzemplarz ten znajduje się w dobrym stanie i został prawdopodobnie przyniesiony do Polski przez tamtejszych emigrantów żydowskich. Po umieszczeniu w nowym domu rady wyznaniowej, zbiory zawierające oprócz tego wiele przedmiotów sztuki i rytuału dostępne będą szerszej publiczności. *B.*

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.